

Z górniczym sercem do św. Barbary

Dawnym węglowym szlakiem od Przemszy, przez Wisłę, aż do Gdańska wyruszyli kajakiem 7 maja 2014 roku.

Jacek Paris wraz z żoną Moniką przepłynęli prawie 1000 km, aby ofiarować węglowe serce patronce górników. 20 maja zostało ono złożone pod ołtarzem św. Barbary w Bazylice Mariackiej w Gdańsku i jest tam do dziś.



MAJ - 2014

Pomysł tej wyprawy zrodził się w głowie mojego męża Jacka w pewien jesienny wieczór 2013 roku, po przeczytaniu artykułu w Gazecie Mysłowickiej o Andrzeju Sapoku. Człowiek ten w latach dwudziestych XX w. wybrał się kajakiem z Oświęcimia do Gdańska, chcąc poznać warunki żeglugi na Wiśle. Zbudował później statek „Katowice”, który pływając po tej rzece pełnił funkcje handlowo – transportowe, a równocześnie był domem dla kilku rodzin.

Na statek nas nie stać, ale dmuchany kajak, ochrzczony jako „Batory”, posiadamy. A że mój mąż to człowiek z fantazją, postanowił tej wyprawie nadać głębszy sens. Wyrzeźbił serce z węgla, które miało zostać złożone pod ołtarzem św. Barbary w Bazylice Mariackiej w Gdańsku. Miał to być również symboliczny spływ węgla po wojnie z Mysłowic do Gdańska. Kiedyś, już w XIX w., takie spływy odbywały się z portu na Przemszy. I właśnie tam, ze szczególnego miejsca, jakim jest Trójkąt Trzech Cesarzy, mój mąż postanowił rozpocząć tę podróż. Uznałam, że taka wyprawa może być ciekawą przygodą i muszę w niej uczestniczyć.

Rozpoczęliśmy przygotowania od końca 2013 roku. Należało sprawdzić informacje na temat śluz, oznaczeń na Wiśle i przygotować potrzebny sprzęt. Pomocny okazał się techniczny opis Wisły zamieszczony w internecie przez pana Grzegorz z Raciborza, który przepłynął tę rzekę kajakiem w dwóch etapach z dwuletnią przerwą między nimi. My mieliśmy na taką wyprawę około dwóch tygodni, ograniczeni możliwościami urlopowymi.

W marcu 2014 roku Jacek przepłynął 24 km. Przemszą od Trójkąta Trzech Cesarzy do ujścia Wisły, chcąc sprawdzić, czy jest to w ogóle możliwe. Okazało się, że dwa miejsca (pod mostem na Brzezince i w Chełmku) są niebezpieczne do przepłynięcia i lepiej tam kajak przenosić.



Trochę było obaw, czy zmieścimy wszystkie potrzebne rzeczy, ale przy próbnym domowym pakowaniu upchnęliśmy wszystko. A było tego dużo : akumulator, silnik, żagiel, namiot, śpiwory, skrzynka z węglowym sercem, butle z gazem, worki wodoodporne (jeden z ubraniami, drugi ze sprzętem elektronicznym i apteczką), zapas wody mineralnej i jedzenia, narzędzia i klej w razie awarii kajaka i pompka. Ważna jest również gąbka i czerpak do wybierania wody (mamy to już przećwiczone na wakacjach). Jak się później okazało przydałaby się jeszcze lornetka, ale nie przypuszczaliśmy, że będzie potrzebna.

Data wyprawy została wyznaczona na 07.05.2014. Nasze dzieci, Julia i Alan, dwunastoletnie bliźnięta zostają pod opieką babć i dziadka, więc będziemy o nie spokojni. Możemy już płynąć!!!

Dzień pierwszy – 7 maj

Po pracy o 15.00, Jacek (jeszcze sam, tylko z węglowym sercem) wypływa z Trójkąta Trzech Cesarzy. Ma do pokonania 24 km do miejsca, w którym Przemsza wpływa do Wisły.



Pod mostem na Brzezince i w Chełmku, kajak przenosimy brzegiem, bo nie warto wpaść na coś niebezpiecznego zaraz na początku wyprawy.



Po czterech godzinach Jacek dopływa do zerowego kilometra Wisły, gdzie znajduje się zwirownia. Zerowy kilometr nie oznacza początku rzeki, lecz początek szlaku żeglownego.



Po wcześniejszych ustaleniach z kierownictwem zwirowni Jacek spędza tam noc w naszym aucie, w którym jest już reszta sprzętu na wyprawę.

Jutro zmierzmy się z Wisłą już razem.

Dzień drugi – 8 maj

Batory zapakowany, możemy ruszać. Wypływamy o 5:30 z zerowego kilometra Wisły, z terenu żwirowni niedaleko Oświęcimia.



Przed nami 936 km Wisły i jeszcze 26 km do centrum Gdańska. Na tabliczce kilometrażowej pojawia się pierwszy kilometr.



Jeszcze 5 km i przed nami pierwsza śluza - „Dwory”. Mamy zielone światło, śluzowanie przechodzi sprawnie i możemy płynąć dalej.



Przez następne 15 km woda właściwie stoi i płynie się bardzo powoli. Nasz Batory, ze względu na budowę i materiał, z którego jest zbudowany, płynie dużo wolniej od standardowego kajaka. Trzeba się trochę namachać wiosłami, żeby posuwać się do przodu.



Po następnej śluzie - „Smolice”, Wisła robi się już szersza i jakby zaczyna płynąć.



Pogoda dopisuje, możemy podziwiać liczne ptactwo, czasami sarny przy brzegu. Mijamy bardzo malownicze tereny.



Musimy skrócić na kanał Łączany – Skawina, bo tędy można płynąć bez przenoszenia kajaka. Kanał nie jest zbyt szeroki, woda płynie bardzo leniwie i pomagamy sobie trochę silnikiem.



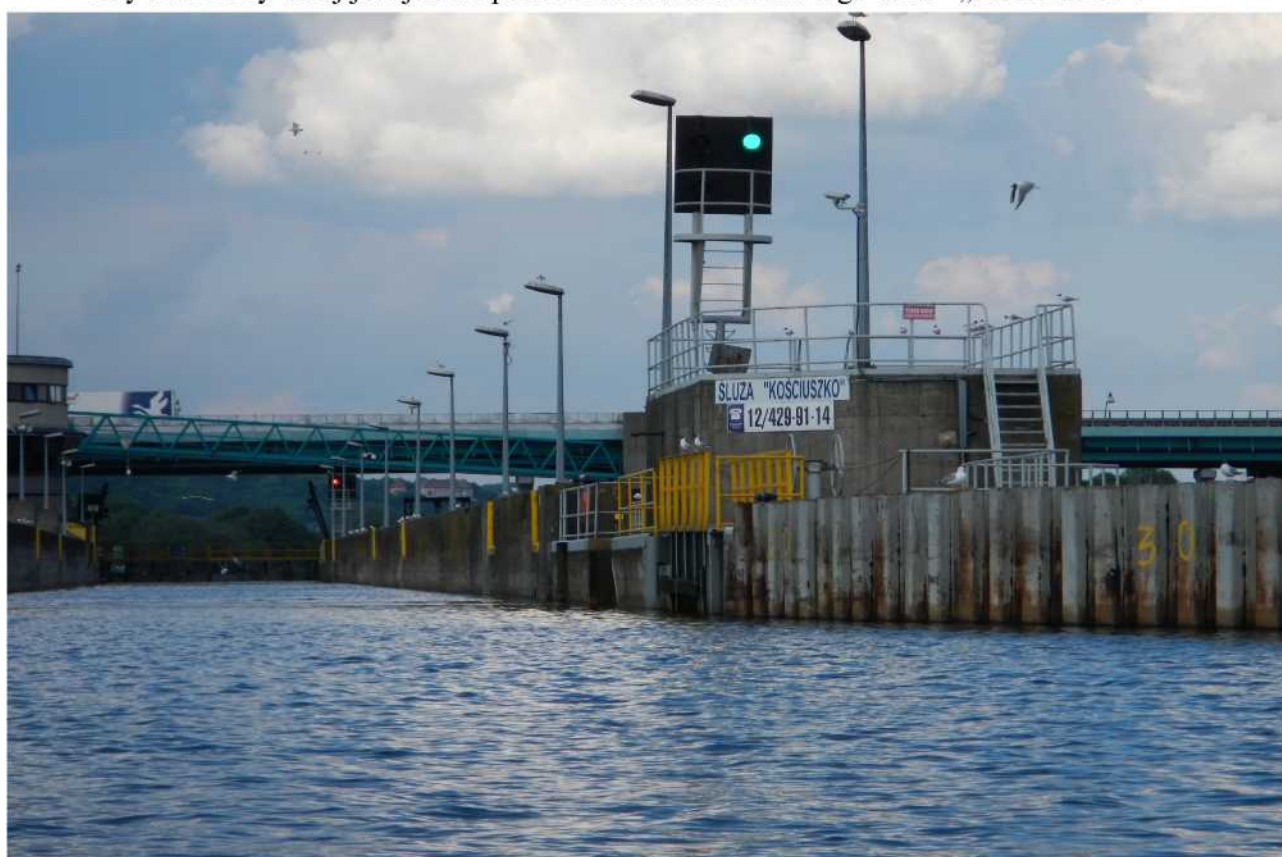
Mamy domowe kanapki, więc się nie zatrzymujemy. Jemy i pijemy na zmianę, bo zawsze ktoś musi wiosłować i utrzymywać kurs. Na 54 km służymy się przez „Borek Szlachecki” i znowu wypływamy na „prawdziwą” Wisłę.



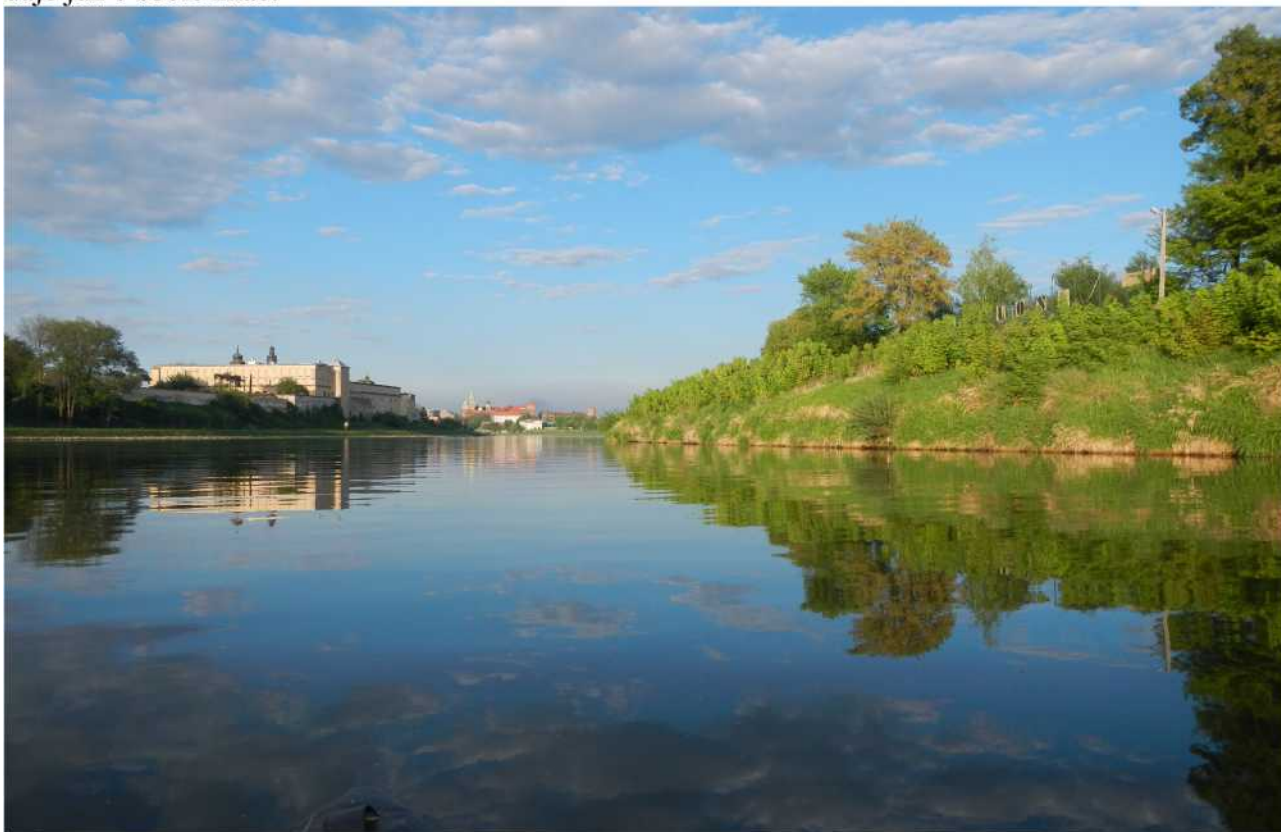
Na 63 km mijamy klasztor w Tyńcu, wygląda on z perspektywy rzeki bardzo dostojnie.



Trzy kilometry dalej jest już do pokonania czwarta śluza tego dnia - „Kościuszko”.



Ciągle wydaje nam się, jakby rzeka stała w miejscu, w ogóle nie czujemy jej nurtu. Zmęczenie daje już o sobie znać.



Wieczorem w końcu mijamy Wawel na 76 km.



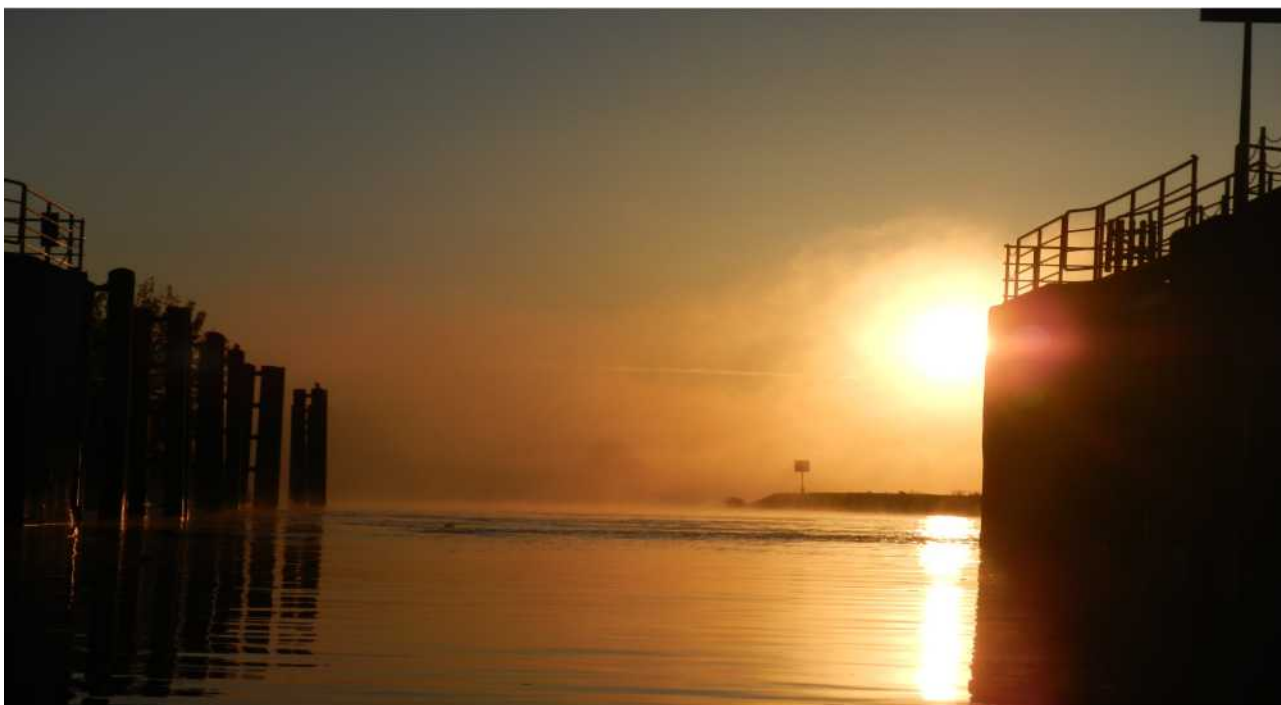
Jeszcze siedem mostów i przed nami śluza „Dąbie” na 81 km.



Pan obsługujący śluzę pozwala nam rozbić namiot na trawie, podładować akumulator i telefony. Okazuje się, że jeden śpiwór (mimo, że był zapakowany w grubym worku) jest całkiem mokry. Musi nam wystarczyć ten drugi. Po zjedzeniu ciepłej zupy z chlebem można się w końcu położyć. Ten dzień był bardzo długi. Nam się wydaje, że ciężki, ale nie wiemy jeszcze wtedy, co nas czeka dalej...

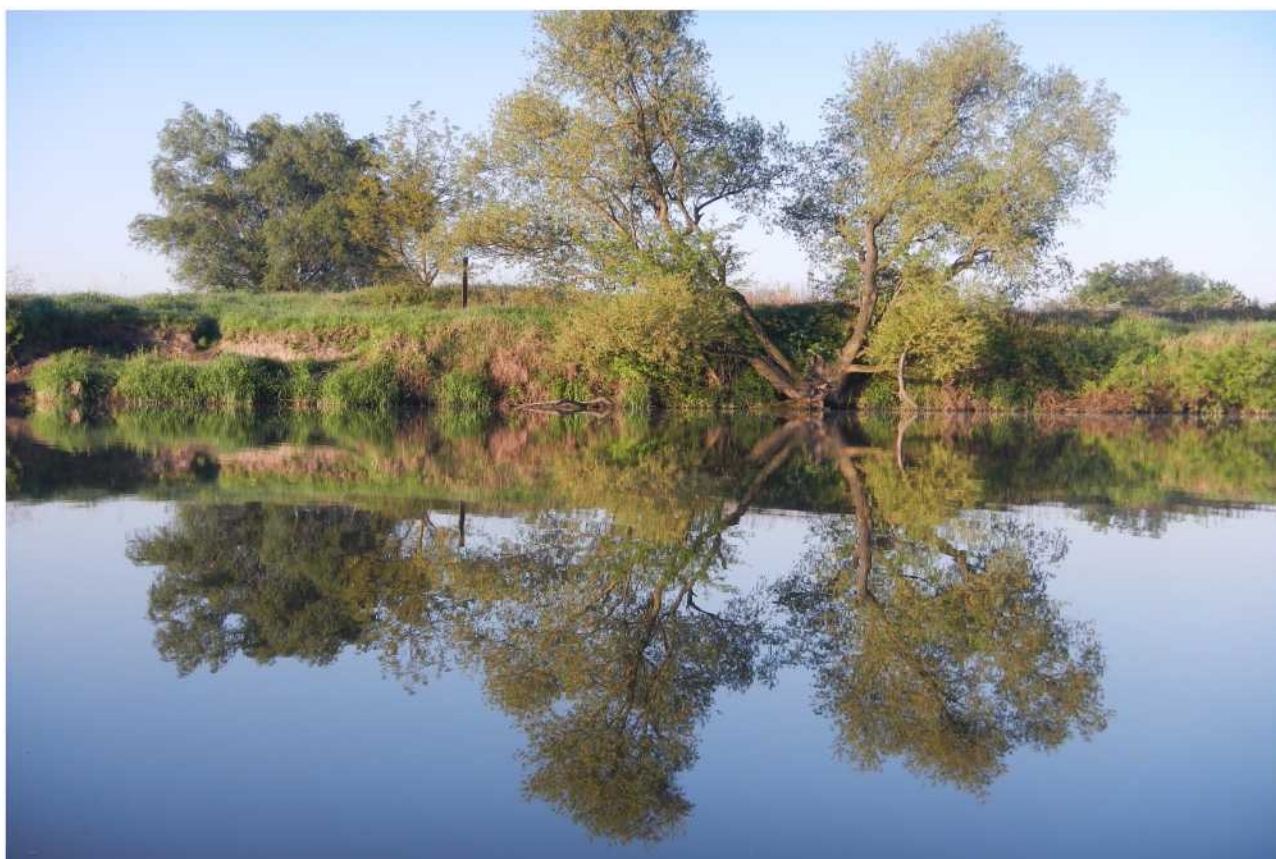
Dzień trzeci – 9 maj

4:01 dzwoni budzik w telefonie. Będzie trudno przyzwyczaić się do wstawania o tej porze. Zwijamy namiot i śpiwory (na szczęście ten zamoczony też już wysychł w nocy). Jemy małe śniadanie i pakujemy „Batorego”. Śluzujemy się już o piątej rano. Za wielką bramą śluzę wita nas wschodzące słońce i mgła, która trochę utrudnia przemieszczanie się.



Niedługo jednak mgła znika a błękitne niebo i drzewa odbijają się w tej stojącej wodzie jak w lustrze.





I tak, aż do śluzy „Przewóz” na 93 km.



Tutaj niestety jest za niski stan wody (podobno prawie zawsze) i kajak musimy przenosić. Pomaga nam pan tam pracujący i przewozi nasze bagaże na taczce. Nam zostaje tylko pusty kajak. Pogoda dalej dopisuje, jest przyjemnie ciepło. Pora już obiadowa, więc przed dalszą podróżą, kabanosy z chlebem są jak najbardziej wskazane.



Z nową porcją energii można ruszać dalej. Stan wody za śluzą jest tak niski, że widać wystające kamienie. Dopiero kilometr dalej robi się głębiej i czuć, że woda zaczyna nieść. Płyniemy od zakola do zakola, na zewnętrznej blisko brzegu, bo tam nurt jest najmocniejszy i trochę pomaga. Trzeba już uważać na wystające korzenie. Na 121 km w okolicach Nowego Brzeska mijamy skalną kataraktę. Wygląda to jak na górskiej rzece, ale udaje się jakoś bezproblemowo prześlizgnąć. Płyniemy ciągle w wąskim korycie między wysokimi brzegami.



Nie widać ludzi ani domów w pobliżu rzeki, czasami tylko przyglądają nam się z brzegu zdziwione krowy. Nie słychać żadnych odgłosów miasta, naokoło śpiewają ptaki i ciągle odzywają się kukułki. Zbierają się nagle ciemne chmury i gdzieś za nami słychać pomruki burzy.



Zaczyna wiać od tyłu i można wreszcie wypróbować żagiel. Jest on przymocowany na dziobie i zwinięty w małe kółko. Rewelacja!!! Płynimy jak żaglówką, chociaż przyznam, że gdy mój mąż kupił ten żagiel, to wydawało mi się, że będzie to bardziej zabawka a nie coś tak przydatnego. Wiatr niestety się kończy i znowu do wiosł. Wiosłować trzeba ciągle, nawet gdy silnik lub żagiel są w użyciu, bo inaczej kajak płynię, gdzie chcę. Tabliczka ze 156 km oznacza 75 km przepłynięty tego dnia.



Rozbijamy obóz na 160 km obok stanowiska przeprawy promowej niedaleko wsi Opatowiec. Dokładnie tutaj Dunajec wpada do Wisły. We wsi można uzupełnić zapasy wody, chleba i batoników. Jest możliwość podładowania akumulatora przy promie, a to podstawa (silnik i ładowanie telefonu). Każdy z nas zna już swoje zadania i nie czeka, aż zrobi to „ten drugi”. Sprawnie razem działając i pomagając sobie ze wszystkim możemy szybciej zjeść i iść spać, a sen po takim wysiłku jest bardzo potrzebny. Namiot rozbijamy w pobliżu Batorego, między krzakami.

Robi się tak zimno, że kładziemy się ubrani nawet w kurtki. Jeszcze nam nie przychodzi nawet do głowy, żeby zrezygnować.

Dzień czwarty – 10 maj

Nie wiadomo kiedy mija noc i znowu jest 4:01. Śniadanie, pakowanie i o 5:00 jesteśmy na wodzie.



Gdzieś za chmurami wschodzi słońce, dając nadzieję na ładny dzień.



Po połączeniu z Dunajcem Wisła ma szersze koryto, ale na tym odcinku jest jeszcze przewidywalna, tylko wystające korzenie mogą być niebezpieczne.



Koło południa jemy zwykle po batoniku czekoladowym na wzmocnienie a kabanoski z chlebem na późny obiad. Do picia mamy wodę z rozpuszczalnymi tabletkami witaminowymi, żeby oszukiwać żołądek.

Pojawiają się wyspy i łachy piasku, ale przeważnie od wewnętrznej strony biegu rzeki. W związku z tym zaczynają się oznaczenia żeglugowe. Mają one postać białych patyków lub patyków z wiechą wbitych w dno rzeki lub linię brzegową. Te pierwsze należy omijać z lewej strony a te drugie z prawej. Często trzeba się zastanawiać, czy to wystający korzeń, czy oznaczenie. A lepiej płynąć według nich, bo inaczej można wpaść na coś, czego nie widać pod wodą.

Na 223 km mijamy elektrownię Połaniec. Czasami jest tu podniesiony próg wodny, który uniemożliwia bezpieczne przepłynięcie kajakiem. Na szczęście dla nas, próg jest akurat położony i zaoszczędzimy dużo czasu bez przymusowego przenoszenia całego dobytku.



Za elektrownią mamy dobry wiatr i parę kilometrów udaje się podciągnąć na żaglu. Niestety zaczynają się rozlewiska, gdzie więcej w większości już na nas i ciężko się płynić.

Zbliża się już wieczór i zatrzymujemy się na piaszczystej plaży niedaleko Baranowa Sandomierskiego, na 245 km. Robi się zimno, więc ognisko i zbieranie drzewa na dokładkę, jest pierwszą rzeczą do zrobienia.



A że potrzeba matką wynalazku, wbijamy w piasek wysokie patyki i mokre rzeczy mają szansę wyschnąć w promieniach zachodzącego słońca i przy ognisku. Zamiast kiełbasek nad ogniskiem mamy dzisiaj suszenie skarpetek na patykach.



Jeszcze ciepły posiłek w postaci dania liofilizowanego (menu na dziś to gulasz z warzywami). Smakuje całkiem dobrze. Mamy już dopracowany sposób szykowania pościeli w namiocie. Karimat nie mamy, bo już się nie zmieściły. Pod śpiwory kładziemy gumowe spodnie (chroniące nas w dzień przed zamoczeniem), pod głowa worki ze śpiworów i kapoki zamiast poduszki. Pod ręką muszą być telefony, dokumenty, czołówka i nóż „w razie kłopotów”. Gumowce wieszamy przed namiotem na patykach, żeby rano były suche w środku. Śpimy ubrani na cebulkę a na nogach, oprócz skarpet zakładamy jeszcze ciepłe wkładki z gumowców. Po 80 km wiosłowania nawet na twardym piasku zasypia się prawie od razu.

Dzień piąty – 11 maj

Jak co dzień pobudka o 4:01, śniadanie i pakowanie. Ubrani już właściwie jesteśmy (spać trzeba w kilku warstwach), jeszcze tylko skórzane pasy dla ochrony kręgosłupa, gumowe spodnie i kapoki. Gumowce mocujemy jeszcze ze spodniami taśmą, żeby woda się nie wlewała. Jak zwykle o 5:00 wiosła w ręce i przed siebie. Lekka mgła snuje się po rzece, jest pochmurno i chłodno.



Wiosłujemy w stronę Sandomierza wypatrując tyczek.



Musimy tam uzupełnić zapasy wody i jedzenia, więc cumujemy w przystani w mieście na 268 km.



Od Sandomierza zaczyna się tzw. Wisła Środkowa – najbardziej naturalny i dziki odcinek aż do Płocka. Przybywa wysp, piaskowych łach i mielizn. Czasami można odnieść wrażenie, że w tej rzece jest więcej piasku niż wody. Kończy się wiosłowanie prosto przed siebie a zaczyna szukanie możliwości przepłynięcia kajakiem (nie barką) bez zawieszania na mieliznach. Jeżeli utknie się jednak na środku rzeki, należy sprawdzić, czy nie występuje zjawisko tzw. miałki, czyli miękkiego dna, w które można się zapaść. Od teraz nie da się przepłynąć dłuższego odcinka prosto przed siebie, tylko zygzakiem, od brzegu do brzegu, a te bywają od siebie bardzo odległe. Na tabliczce kilometrażowej przybywa kilometr a tak naprawdę przepływa się dwa lub trzy. Na 295 km mijamy wapienne wzgórza pod Annopolem.



Tak malownicze krajobrazy jak tutaj może stworzyć tylko natura. A natura pokazuje nam właśnie, kto tu rządzi i z ciemnych chmur, krążących wokół nas, w końcu lunęło. Cali mokrzy stajemy na najbliższej plaży, bo zaczyna też grzmieć. Na szczęście jakiś rybak zostawił niedogaszone ognisko, które udaje się na nowo rozpalić. Suszymy przy nim ,co się da. Jemy też ciepły posiłek z zamiarem rozbicia obozu. Burza przechodzi jednak bokiem a jest jeszcze za wcześnie i szkoda kilometrów, więc ruszamy dalej. Wieczorem jednak znowu zaczyna lać i próbujemy znaleźć suchy kąć do spania. Niestety ludzie, na których tutaj trafiamy, nie są zbyt pomocni i znowu rozbijamy obóz na piaszczystej wyspie z daleka od zabudowań. Jest tu dużo drzewa, które nie zdążyło jeszcze całkiem zamoknąć i możemy w końcu ogrzać się przy ognisku i wysuszyć mokre rzeczy.



Organizm przyzwyczał się już do codziennego wysiłku, ale jak jest wszystko mokre a temperatura nie przekracza 10 C , to nie jest zbyt wesoło. Jak się jednak okazuje, człowiek szybko przystosowuje się do każdego warunków.

Po takim dniu chce się już tylko wejść do śpiwora i spać (nieważne gdzie).

Mamy dziś 320 km.

Dzień szósty – 12 maj

4:01 – słychać, że na namiot pada deszcz. Niezbyt dobra motywacja do wstawania i wychodzenia z ciepłego śpiwora. Tak szybko jak się da, jemy śniadanie, pakujemy obóz i o 5:00 jesteśmy w kajaku. A woda przed nami, za nami i jeszcze z góry pokapuje. Dzisiaj nie ma mowy o podziwianiu wschodu słońca, wszędzie tylko ciemne chmury.



Płynić się ciężko, bo jest zimno i mokro, ale na tabliczkach pojawiają się powoli kolejne kilometry. Oznaczenia żeglugowe zmieniają się na bardziej cywilizowane.

Zamiast białych patyków są tyczki malowane na biało-zielono, a patyki z wiechą zastąpiono tyczkami malowanymi w biało-czerwone paski. I tak jak te poprzednie, są bardzo przydatne, wręcz niezbędne w szukaniu bezpiecznej drogi. Na tej rzece nie można się nudzić, żyje ona własnym życiem i nigdy nie wiadomo, co będzie za następnym zakrętem. Wymaga stałej koncentracji i obserwacji wody jeszcze daleko przed dziobem kajaka. Wisła to labirynt i trochę loteria, gdzie ciągle szukasz odpowiedniego miejsca do przepłynięcia i nigdy nie jest to na skrót.

Ale właśnie dzięki temu można tu obserwować naturę w całej swej okazałości. Nierzadko latają nad nami orły bieliki, bociany, kaczki i kormorany. Czaple stoją przy porośniętych brzegach a łabędzie nieprzyzwyczajone do widoku ludzi zrywają się do lotu całymi stadami.



Dziś już 30 km za nami (tabliczki z oznaczeniem kilometrów też są nieraz dobrze schowane).



Zbliżając się do Kazimierza Dolnego, przepływamy obok pięknego starego młyna stojącego na wzgórzu.



W mieście nie robimy postoju, bo wszystko co jest nam potrzebne jeszcze mamy.



Nad nami ciągle wiszą ciężkie chmury, ale na razie tylko straszą.



Dzisiaj możemy liczyć tylko na siłę naszych rąk, bo wiatr wieje od przodu i żagiel „odpoczywa”. Robimy sobie mały odpoczynek w przystani w Puławach na 371 km, gdzie nawet można zjeść obiad i podłączyć się do prądu. Tęgo typu przystanie są na Wiśle niestety rzadkością i dlatego takie wyprawy jak nasza, to prawie szkoła przetrwania.

Jeszcze za wcześnie, żeby tu zostawać i dopiero 10 km za Dęblinem rozbijamy obóz na plaży.



Jak zwykle pierwsza rzecz do zrobienia to ognisko, chociaż jest tu mało drzewa i na długo nie wystarczy. Jeszcze ciepła zupa z chlebem i zasłużony odpoczynek. Jest zimno, ale nie pada już deszcz, a to najważniejsze. Nasz zapal trochę ostudziła pogoda (jest coraz zimniej), ale nie myślimy o zakończeniu naszej podróży.

Dzień siódmy – 13 maj

4:01 wstaje nowy dzień a my z nim. O 5:00 siedzimy już w kajaku .Słońce nieśmiało przebija się przez chmury, może będzie lepiej.



Ciągle wypatrujemy tyczek, które są umocowane w różnych, dziwnych miejscach.



Na 427 km mijamy elektrownię Kozienice, świeci słońce, ale nadal jest zimno.



Zaczyna wiać, ale oczywiście nie w tym kierunku, co trzeba. Na żaglu można płynąć nawet na bocznym wietrze, halsując, ale więcej od północy, prosto na nas. Musimy pomóc sobie silnikiem (na małych obrotach, żeby na dłużej starczyło baterii), bo inaczej stajemy w miejscu albo spych nas w kierunku brzegu.

Ciągle płyniemy slalomem między wyspami i wystającymi z wody korzeniami.





Nierzadko zdarza się, że na środku rzeki, leży sobie na mieliźnie wielkie drzewo.



Robi się optymistycznie, mijamy 461 km, a to oznacza, że prawie połowa Wisły za nami.



Jesteśmy już niedaleko Warszawy i często słychać i widać nisko lecące samoloty. Jutro przed południem będziemy przepływać przez stolicę.

Pod wieczór, nie mając jak zwykle innej możliwości, rozbijamy obóz na piaszczystej wyspie (na 482 km).



Jest tu dużo drzewa, więc z ogniskiem nie ma problemu. Problemem, jak się okazuje jesteśmy my, dla setek gniazdujących tu mew. Latają ciągle nad nami, wrzeszczą jak opętane i spuszczają na nas swoje „odchodowe bomby” (dobrze, że nie trafiają). Dopiero, gdy przestajemy znosić drzewo na ognisko, trochę się uspokajają. Ciemne chmury krążą naokoło, jakby zaraz miało lunąć, ale zamiast tego pojawiają się piękne tęcze. W naszym zabieganym życiu rzadko mamy okazję widzieć coś takiego.



Dzisiaj po kolacji czeka nas jeszcze jedno wyzwanie – mycie włosów w Wiśle. Nie jest to zbyt przyjemne w tej zimnej wodzie, ale naprawdę już konieczne, bo wyglądamy okropnie. Na takiej wyprawie człowiek zaznaje trochę bezdomności i zaczyna doceniać wygodę i ciepło „domowego ogniska”.



Używany dziś silnik wyładował już prawie akumulator, telefony też mają słabe baterie i jutro musimy się gdzieś podładować, żeby nie stracić kontaktu ze światem.

Dzwonimy codziennie do dzieci, nigdy na tak długo nie zostawały bez nas w domu i tęsknimy już bardzo za nimi. Jest to też na pewno dodatkowa motywacja do codziennego wysiłku. Mamy nadzieję, że kiedyś docenią to, że mają takich zwariowanych rodziców.

Dzień ósmy – 14 maj

4:01 – wstajemy razem ze słońcem, które pięknie wschodzi za mgłą.



Z brzegu wydaje nam się, że mgła zaraz się podniesie i wypływamy jak co dzień o 5:00.



Trochę się jednak przeliczyliśmy, bo mimo, że słońce jest coraz wyżej, mgła robi się coraz gęściejsza.



Przydatna okazuje się auto- mapa w telefonie, bo nie widać nawet gdzie rzeka zakręca. W takich warunkach płyniemy około 10 km, skupieni na omijaniu mielizn i korzeni. Gdy w końcu mgła znika, nie jest wcale łatwiej. Z wody wystaje wyjątkowo dużo korzeni i powalonych drzew, a tyczki oznaczeniowe są jakby dziwnie schowane.



Dopiero blisko Warszawy pojawiają się ,zamiast tyczek, bojki pływające na wodzie (zielone i czerwone) , i widać je z daleka. Przed centrum miasta rzeka jest uregulowana, bez żadnych niespodzianek , właściwie wygląda jak szeroki kanał.

Z daleka widać już Pałac Kultury i Nauki w otoczeniu wieżowców.



Warszawa wita nas typowymi odgłosami dużego miasta, słychać jeżdżące karetki lub policję i cały ten szum spieszącej się do czegoś stolicy. Po kilku dniach spędzonych w towarzystwie śpiewających ptaków i kumkających żab to takie inne i wcale nie lepsze.

Na 511 km cumujemy przy przystani Warszawskiego Towarzystwa Wioślarskiego niedaleko, Pomnika Saperów. Obiekt jest zamknięty, ale musimy uzupełnić zapasy żywności, więc postój jest tu obowiązkowy. Jest tam akurat reporterka z Polsat News, która przeprowadza wywiady z tymi „ważnymi” na temat zbliżającej się podobno fali powodziowej. Z nami też robi krótki materiał o naszej wyprawie (jednak było warto myć wczoraj włosy).

Warszawa ze środka rzeki prezentuje się całkiem dobrze. Mijamy Stadion Narodowy, Warszawską Syrenkę i Zamek Królewski.



Kolejne mosty i stolica zostaje szybko za nami - wracamy do śpiewających ptaków. Słońce schowało się za chmury, ale dzisiaj nie pada i płynie się dość przyjemnie, mimo wiejącego na nas wiatru. Rzeka znowu rozlewa się w swoim naturalnym korycie i powracają oznaczenia w postaci bojek na wodzie.

Zbliża się wieczór i trzeba szukać miejsca na nocleg, obowiązkowo z możliwością podłączenia się do prądu. Po dwóch nieudanych próbach rozbijamy obóz niedaleko brzegu przy domu pewnego starszego pana. Jak się okazuje, jest to emerytowany górnik, który mieszkał i pracował na Śląsku. Szczerze zainteresowany wysłuchuje „wiadomości ze Śląska”. Pozwala nam podładować wszystko co trzeba i możemy porozmawiać spokojnie z rodziną i znajomymi bez obawy wyładowania telefonów.

Dziś dla odmiany śpimy na trawie, ale w sumie tak samo twardo jak na piasku. Tabliczka niedaleko namiotu wskazuje 567 km, cel jest coraz bliżej.

Jest ciężko, ale naturalne piękno tej dzikiej rzeki, które możemy cały dzień podziwiać, rekompensuje trudy naszej podróży.



Dzień dziewiąty – 15maj

4:01 – dzień jak co dzień, rutynowe poranne krzątanie i o 5:00 jesteśmy na wodzie. Słońce bardzo chce się przebić przez chmury, ale jest ich za dużo.



Jest tak zimno, że ręce marzną na wiosłach, ale dzisiaj „zimna Zośka” i chyba nie ma co liczyć na cieplejsze klimaty.

Mijamy Wyszogród na 589 km i most z zaznaczonym poziomem rzeki w 2010 r.- robi wrażenie.



Bojki oznaczające szlak żeglugowy mają teraz różne kształty, ale są już tylko na wodzie i nie musimy rozglądać się po krzakach, gdzie wcześniej były wbijane tyczki.

Pierwszy raz od początku naszej podróży przepływa obok nas mały statek. Przez te osiem dni byliśmy na wodzie jedynymi podziwiałymi walory tej pięknej rzeki. I wielka szkoda, że tak się dzieje, bo Wisła jest chyba ostatnią tak dużą rzeką w Europie, która zachowała swój naturalny i dziki charakter. Rozumiem jednak ludzi, którzy nie decydują się pływać tutaj choćby kajakami, bo znalezienie bezpiecznego noclegu jest bardzo trudne. Nie każdy lubi ekstremalne warunki, a o polach namiotowych przy brzegu można tylko pomarzyć, nie mówiąc już o przystaniach z pokojami do wynajęcia, czy restauracjach.



Zaliczamy już dziś 600 km, jeszcze 362 przed nami. Trochę udaje się wykorzystać nasz żagiel, ale w większości wiatr nam nie sprzyja. I to do tego stopnia, że bez pomocy silnika stalibyśmy w miejscu. Musimy go jednak oszczędzać w miarę możliwości, bo nie wiadomo gdzie będzie znowu dostęp do prądu.

Przed Płockiem , na 625 km, zaczyna się tzw. Wielka Wyspa i nagle rzeka zamienia się jakby w morze. Przez kolejne 6 km przebijamy się przez metrowe fale. Płynąc w standardowym kajaku na pewno bylibyśmy już w wodzie.



Gdyby mi ktoś powiedział wcześniej, że na Wiśle mogą być takie fale, to bym go szczerze wyśmiała. Wszystkiego trzeba jednak doświadczyć na własnej skórze. Płyniemy w żółtym tempie, co chwilę wylewając wodę, bo fale rozbijając się o przód Batorego, wlewają się częściowo do środka i nabieramy wody. Dopiero za mostem w Płocku „się trochę” uspokaja.



Mamy trochę dość, ale nie chcemy się przed sobą do tego przyznać. Widząc rozciągający się przed nami Zalew Włocławski, mamy wątpliwości, czy damy radę.

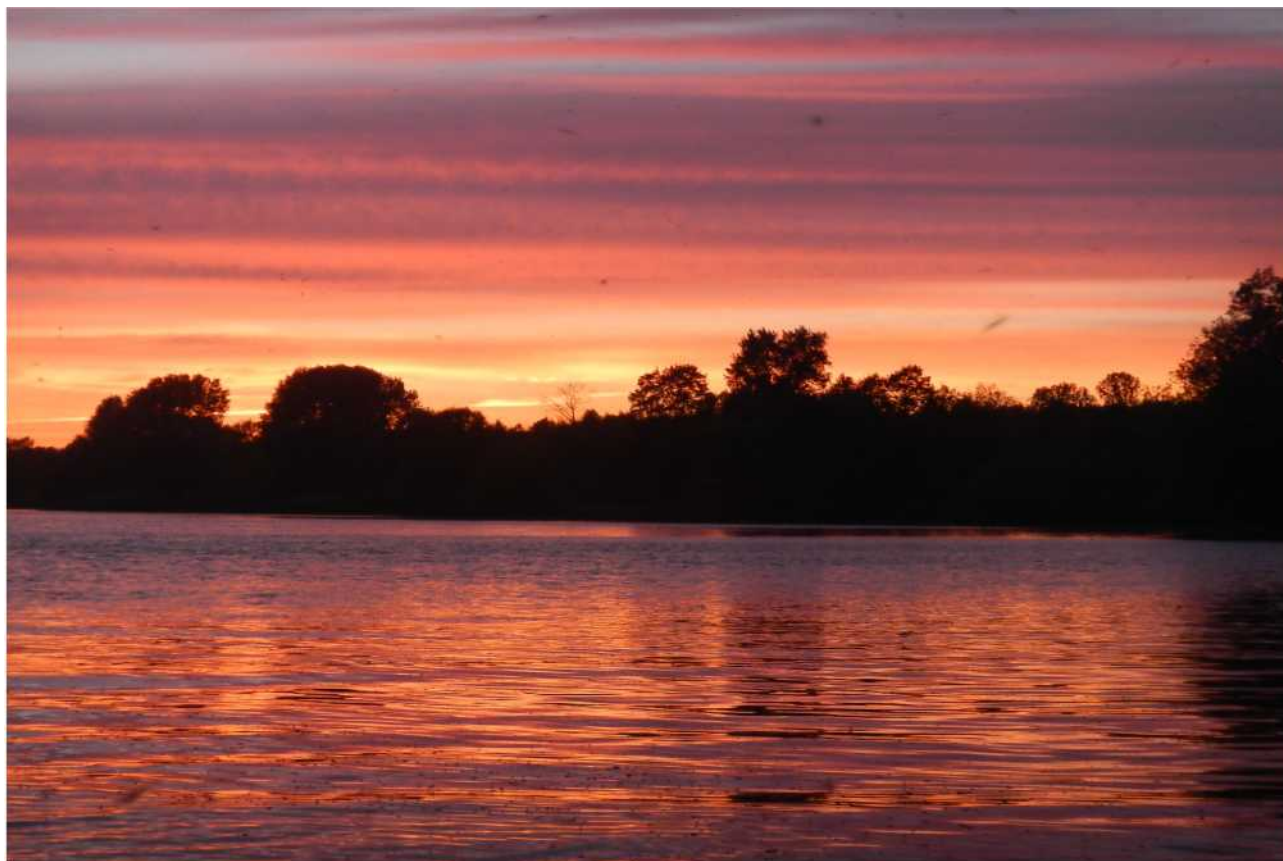


Zalew Włocławski to raczej duże, długie jezioro, zagrodzone zaporą, na którym często wieje, przeważnie z północy. Jak się później dowiadujemy, to drugi po Bałtyku zbiornik, na którym bywają warunki sztormowe. Będzie to na pewno najtrudniejszy etap naszej podróży.

Przychodzą chwile zwątpienia, ale jakoś ciągniemy do przodu. Trochę używamy żagla na bocznym wietrze, ale spycha nas na lewy brzeg. Zalew ma nawet 3.5 km szerokości i przepłynięcie na drugi brzeg zajmuje przy tych falach przeszło godzinę, a nasz akumulator jest prawie pusty. Chcemy dopłynąć do Dobrzynia, ale w tym tempie nie damy rady przed nocą. Decydujemy się na postój w przystani Murzynowo przy prawym brzegu na 644 km. Nie ma tu możliwości spania „pod dachem”, ale jest chociaż restauracja. Ognisko i ciepły obiad to jest to, czego teraz nam potrzeba.

Pewien pan, mieszkaniec Dobrzynia, namawia nas do dalszej podróży. Podobno w dzień nie uda nam się przepłynąć przy tym wietrze tego odcinka, a nocą bywa tu spokojniej.

Zwijamy obóz i wypływamy o 21:00 w promieniach zachodzącego słońca.



Blisko brzegu nie faktycznie nie wieje tak bardzo, bo jest wysoki, ale jak tylko odbijemy troszkę, to nas ściąga na środek zalewu. Robi się zupełnie ciemno, nawet księżyc zakryły chmury.



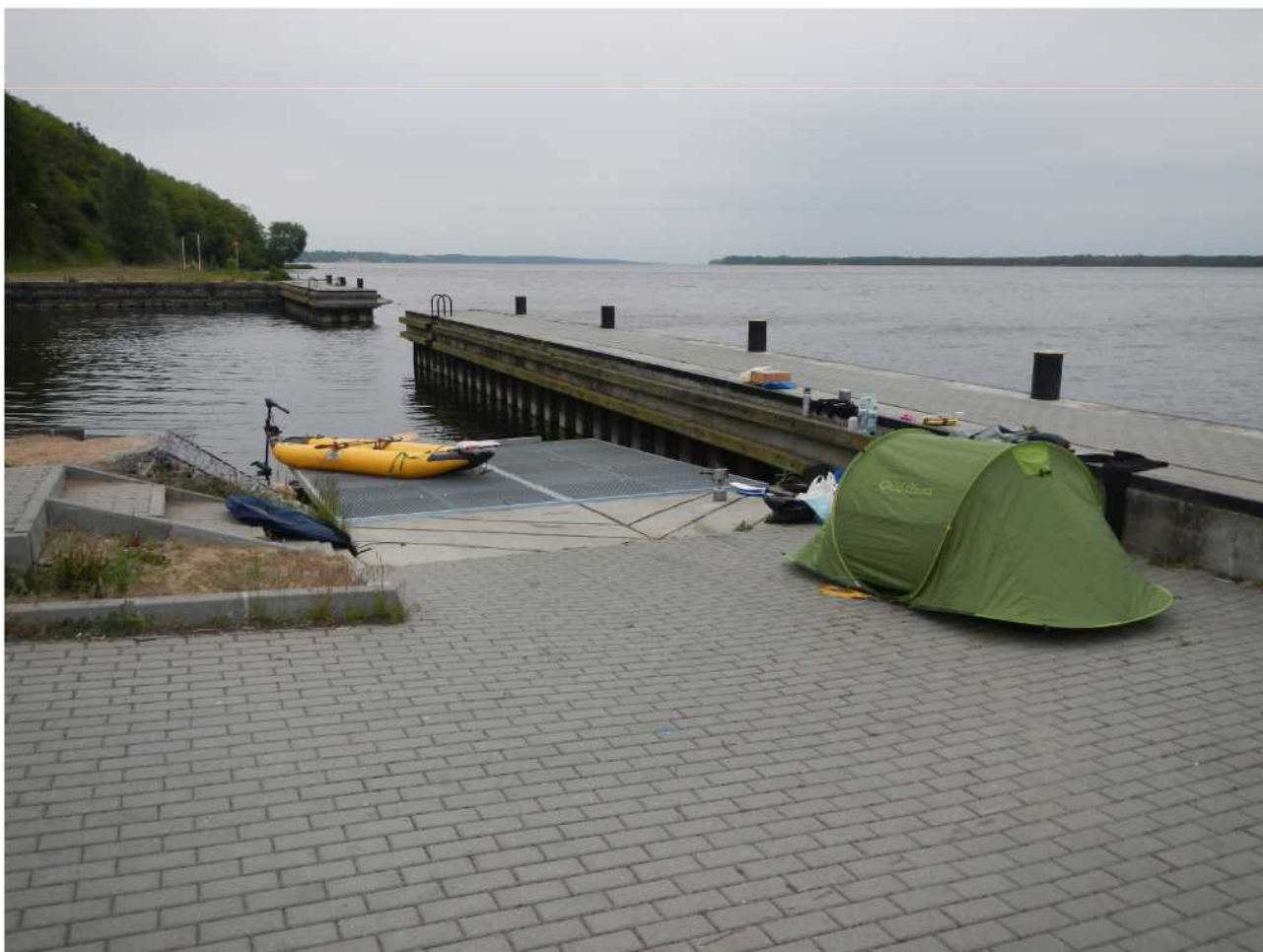
Resztkami sił wleczeniemy się jak najbliżej brzegu, świecąc z przodu latarką i czołówką, żeby nie wpaść na korzenie. Dopływamy do przystani w Dobrzyniu o 2:00 w nocy. To chyba najcięższe 16 km i 5 godzin w naszym życiu.

Wszystko tutaj pozamykane, a ogniska też nie ma jak zrobić. Zmarznięci i wykończeni, ubieramy się w co się da i kładziemy się w końcu spać w namiocie rozbitym na pomoście. Od ostatniego odpoczynku minęły 22 godziny. Po takim wysiłku zasypia się natychmiast, mimo zimna i niewygody.

Jednak można wytrzymać dużo więcej niż się człowiekowi wydaje.

Dzień dziesiąty – 16 maj

Budzik wyjątkowo nie dzwoni o 4:01, bo troszkę trzeba odespać ten wczorajszy maraton. Budynki przy przystani są nadal zamknięte, a stanowisk z prądem (jak w Puławach) niestety nie ma.



Na szczęście pewien uczynny mieszkaniec Dobrzynia ładuje nam akumulator u siebie w domu. Udaje się też zrobić zakupy w pobliskim mieście. Najbardziej cieszymy się z zapasu ciepłych skarpet, które przy tej pogodzie na pewno się przydadzą.

O 12:30 wyruszamy w kierunku zapory mijając 661 km. Zostało nam jeszcze 14 km, które na tym zbiorniku możemy płynąć do końca dnia.



Dopiero teraz możemy podziwiać wysoki i urwisty prawy brzeg, który w nocy wyglądał zupełnie inaczej.



Żeby nie było zbyt pięknie zaczyna padać deszcz i to dość mocno. Nawet ptaki siedzą przy brzegu i czekają na lepszą pogodę.



Ale my wariaci płyniemy dalej, moknąc coraz bardziej, chociaż nawet na nogach mamy powiązane worki na śmieci jako dodatkowa ochronę. Na pewno wyglądamy dość dziwnie. Zainteresowali się nami policjanci wodni, którzy mijali nas niedawno.



Bardzo sympatyczni panowie – Radek i Damian proponują pomoc i zapraszają na swoją łódź. Jesteśmy właśnie na 666 km, podobno w „diabelskim miejscu”, a nam tych „niebieskich” zesłali chyba z nieba. Holują Batorę aż do zapory we Włocławku.



Te 9 km, które zostało nam dziś do pokonania, mogło zaważyć na naszej dalszej podróży. Nie wiem, czy poddalibyśmy się, ale na pewno byłoby to bardzo ciężkie 9 km.

Policjanci nie tylko nas podholowali, ale pomogli jeszcze przewieźć wszystkie bagaże za zaporę, bo trwa tam remont i nie można się ślizżać. Po paru telefonach okazało się, że mamy też załatwiony nocleg w przystani we Włocławku.

Musimy tam podpłynąć jeszcze 6 km, ale bez fal i wiatru pokonujemy ten dystans w pół godziny. Nie przeszkadza nam już nawet deszcz, kiedy przed nami perspektywa kąpieli i noclegu w ciepłym budynku.

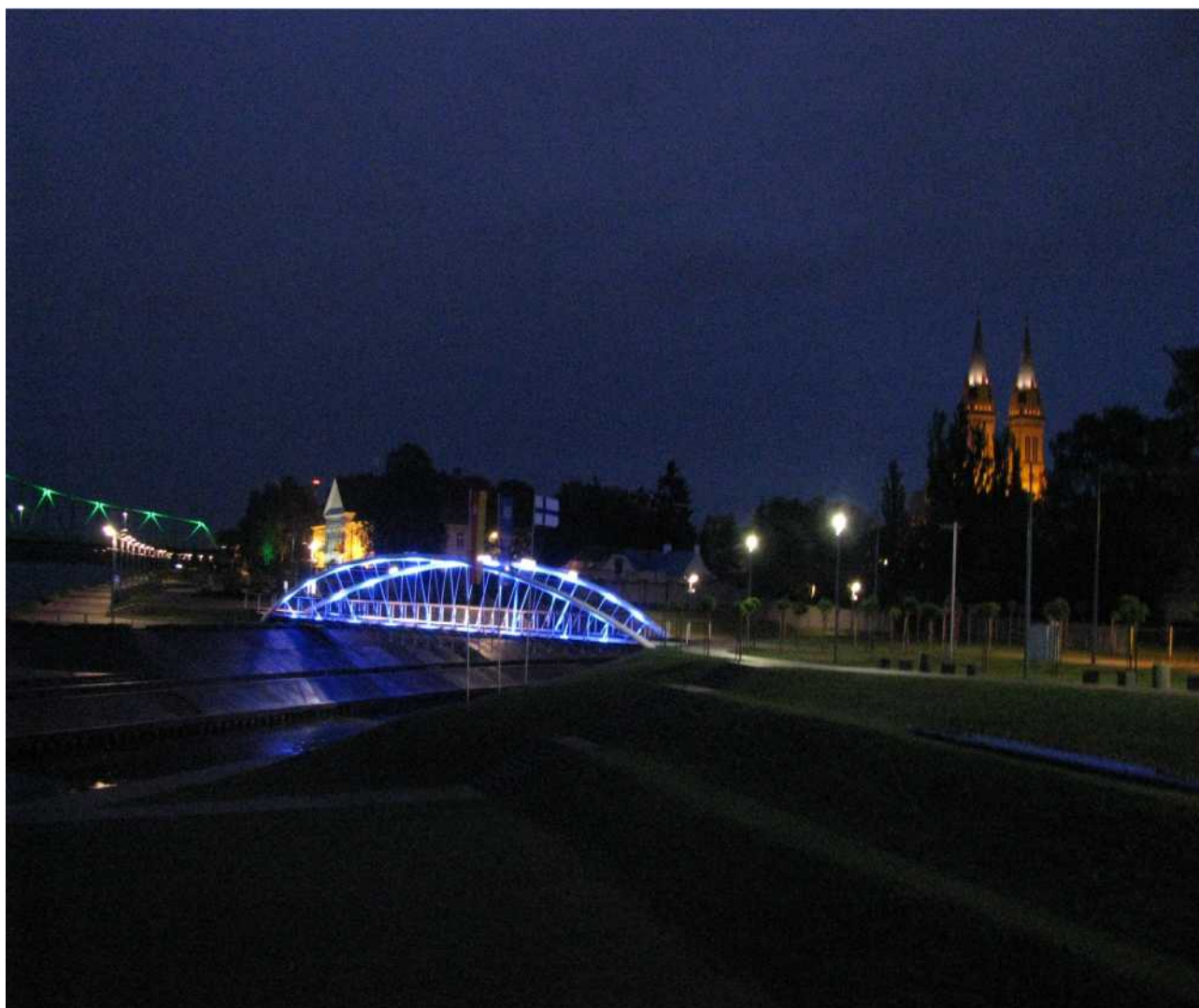
W przystani czeka na nas bosman Konrad, który „rzeczy niemożliwe załatwia od razu a na cuda każe poczekać”. Batorę wnosimy do hangaru, żeby nie kusić złodziei, a my mamy do dyspozycji pomieszczenie punktu medycznego. Bosman Konrad oddaje nam nawet swój własny obiad – jeszcze są tacy bezinteresowni ludzie i nie wolno w to wątpić.

Możemy się w końcu umyć w cywilizowany sposób pod prysznicem (po dziewięciu dniach), ogrzać, wysuszyć mokre rzeczy i po prostu odetchnąć od codziennej „harówki”. Jest nam to już bardzo potrzebne.

Ja śpię dzisiaj na kozetce, a Jacek w śpiworze na podłodze, ale po tylu dniach „na dziko”, to już dla nas luksus. Mój mąż ma w nocy koszmary i trzymając się parawanu wrzeszczy do mnie przez sen - „Uważaj na drzewo!”. Trudno mu uświadomić, że to nie rzeka i nie kajak, tylko bezpieczny pokój. Może się to wydawać śmieszne (a takie było), ale po tylu dniach wysiłku i wypatrywania zagrożeń na rzece, organizm może zareagować różnie.

Na pewno bez pomocy otrzymanej we Włocławku byłoby bardzo ciężko pokonać ten etap i wiele zawdzięczamy Radkowi, Damianowi i Konradowi, którzy tak po ludzku okazali szczerze zainteresowanie i pomogli w krytycznym dla nas momencie.

Będziemy zawsze miło wspominać to miasto.



Dzień jedenasty – 17 maj

4:01 pobudka już jak zwykle. Po kulturalnym śniadaniu przy stole, spokojnie pakujemy kajak i o 5:00 zostawiamy za nami gościnny Włocławek i „luksusy”.



Początkowo wypoczęci, jesteśmy pełni zapału i sił. Szybko jednak okazuje się, że nie będzie wcale łatwiej. Znowu wieje od północy i miejscami buja jak na morzu.



Mimo wszystko kilometry płyną razem z nami , 713 km wygląda całkiem dobrze.



Przed Toruniem dopada nas ulewa i jesteśmy cali mokrzy, czyli „dzień jak co dzień”. Jak przestaje lać to znowu wieje od północy. Płynąc pod kolejnymi mostami zbliżamy się do Torunia przebijając się przez fale.



Mijamy Toruń na 736 km i w końcu ten uciążliwy wiatr uspokaja się.

Zamiast bojek na wodzie znowu pojawiają się malowane tyczki, ale jest już teraz trochę mniej wysp i mielizn. Wisła zwęża się, ale nie można tracić czujności i lepiej płynąć według oznaczeń.

Mieliśmy spać przy stacji wodnej w Solcu Kujawskim na 760 km, ale wszystko zamknięte jak zwykle, a w dodatku kręcą się tam jacyś „podejrzani panowie” i lepiej nie ryzykować.

Płyniemy dalej, szukając samotnej plaży. Brzegi są teraz wyższe, bardziej zarośnięte i trudniej znaleźć miejsce do rozbicia namiotu.

W oddali widać już Bydgoszcz na tle „pięknych”, ciemnych chmur.

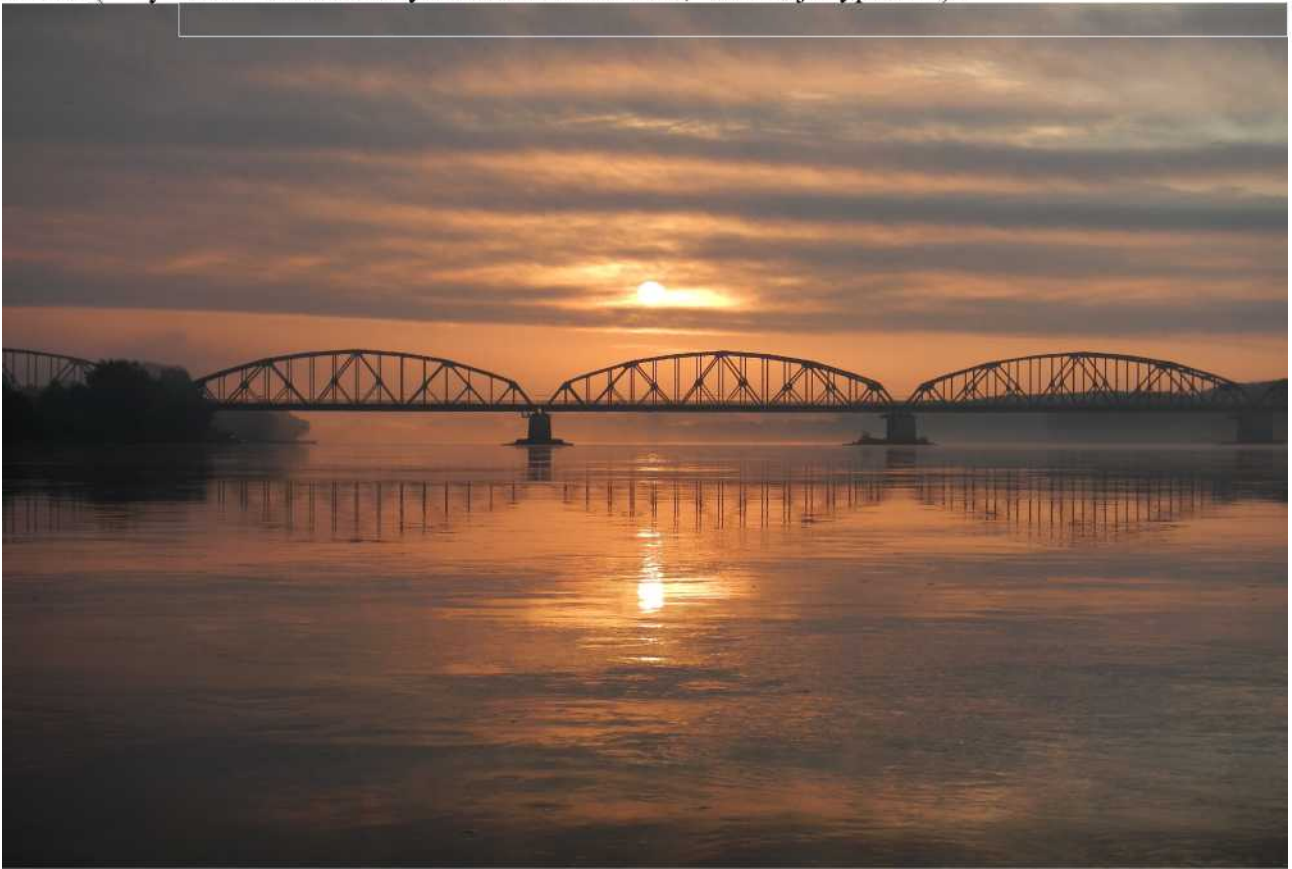


Stajemy na 772 km naprzeciwko Kanału Bydgoskiego. Jak zawsze po „mokrym” dniu, ognisko, suszenie, jedzenie, telefon do dzieci i można kłaść się spać.



Dzień dwunasty – 18 maj

4:01 – w niedzielę też nie ma leniuchowania. O 5:00 na wodzie wita nas piękny wschód słońca (w życiu nie widziałam tylu wschodów słońca, co na tej wyprawie).



Mijamy trzy szczęśliwe siódemki – dobry początek dnia.



W końcu nie wieje, rzeka gładka jak stół. Wyspy widać już teraz z daleka, a wystające korzenie są tylko przy brzegach.



Zaczyna przygrzewać słońce, którego ciepła tak dawno nie czuliśmy. Płynie się z przyjemnością wśród porośniętych, zielonych brzegów.



Niebo jest dla odmiany błękitne a nie granatowe.



Dopływamy do Grudziądza z zamiarem wyjścia na miasto, ale nie ma tu możliwości przycumowania i po szybkim uzupełnieniu zapasów wody i jedzenia, ruszamy dalej.



Nagle, nie wiadomo skąd nadchodzi burza i kilometr za Grudziądzem mokniemy, siedząc w kajaku między trzcinami. Ale dzień bez deszczu to przecież dzień stracony. Trzeba przyjąć to z humorem i płynąć dalej. Tego, co przeżyliśmy na Zalewie Włocławskim, nic już chyba nie przebiję. Jak to bywa po burzy znowu wychodzi słońce i niedługo wyschniemy.



Dopiero dzisiaj mijają nas pierwsze barki na Wiśle. Tych, którzy nimi sterują między takimi mieliznami należy szczerze podziwiać.



Zaczyna wiać dobry wiatr z południa. W końcu żeglujemy i to naprawdę z szybkością nieporównywalną nawet przy użyciu silnika. Przy takim wietrze nawet nie myślimy o jedzeniu czy picciu, byle tylko podciągnąć parę kilometrów na żaglu. Są tutaj szerokie rozlewiska i gdyby wiatr się zmienił byłoby niewesoło.

Zbliża się wieczór i musimy się rozglądać za miejscem na nocleg. Rozbijamy obóz na 872 km, między drzewami, na piaszczystym brzegu.



Słońce jeszcze trochę grzeje, więc wszystko szybko schnie rozwieszone na gałęziach.



Nie trzeba nawet rozpalać ogniska, w końcu jest ciepłej i nie pada.
Dziś mamy rekord – 100 km, ale wiatr zamiast nam przeszkadzać, bardzo pomógł.

Tęsknota do domu i dzieci jest coraz większa, a one już też pytają, kiedy wrócimy. Te 90 km, które nam zostało do celu, będzie się już dłużyło. Przed metą jest zawsze najciężej.

Dzień trzynasty – 19 maj

4:01 „wstawać, szkoda dnia” - już niedaleko. Codzienne krzątanie poranne idzie bardzo szybko i o 5:00 można już robić zdjęcia wschodu słońca ze środka rzeki.



Trochę przeszkadza mgła, która się nagle pojawia. Na szczęście nie ma powtórki sprzed Warszawy i mgła szybko znika. Zamek w Gniewie mijamy już pięknie oświetlony przez słońce.



Robi się coraz cieplej, miła odmiana po ostatnich zimnych porankach. Rzeka jest bardzo spokojna, nie ma mielizn i jest wręcz nudno, kiedy nie trzeba wypatrywać oznaczeń.



Okrągle 900 km już za nami, 1000 km na tabliczce nie będzie.



Podwyższył się trochę stan wody, widocznie spuszcza ją dużo z zapory we Włocławku. Podobno goni nas fala powodziowa, ale do śluzy „Przegalin” mamy tylko 36 km i zdążymy bez obaw. Fala dotrze tu dopiero za kilka dni.

Brzegi są teraz dosyć wysokie i porośnięte drzewami, a woda zupełnie spokojna. To nie ta Wisła sprzed kilku dni.



Za Tczewem zaczyna pięknie wiać od tyłu i na pełnym żaglu przepływamy pod ostatnim mostem na Wiśle na 928 km.



Przed nami w oddali widać Bałtyk, ale nie będziemy tam wpływać, bo za bardzo wieje i byłby problem z powrotem na rzekę.



Skręcamy na służę „Przegalin” na 936 km. Tutaj kończy się Wisła. Wygraliśmy !!!!!



Za służą wypływamy na tzw. Martwą Wisłę. Dobrze, że mamy dobry wiatr, bo fale tutaj też są całkiem okazałe. Szukamy noclegu gdzieś „pod dachem”, bo chcemy, a wręcz musimy się odświeżyć przed „szturmem” na Gdańsk. Udaje się w końcu przycumować Batorego w przystani „Neptun” w Gdańsku- Przełomie na 11 km Martwej Wisły. Jest ciepła woda i pomieszczenie z łózkami. To bardziej barak niż hotel, ale w porównaniu z wyspami to już cywilizacja.

Zostało nam jeszcze 15 km do centrum miasta. Jutro czarne serce z węgla zakończy swoją podróż.



Dzień czternasty – 20 maj

Dziś to już czyste leniwość, budzik nastawiony dopiero na 7:30. Spokojnie jemy śniadanie i ostatni raz pakujemy Batorego. Te 15 km do centrum to już „spacerek”, w dodatku w pełnym słońcu(pogoda nas rozpieszcza na sam koniec).

Dzwoni reporter z TVP Gdańsk i umawia się z nami na wywiad(ktoś ze Śląska opowiedział im o naszej wyprawie).

Stocznie, wysokie dźwigi i ogromne statki robią wielkie wrażenie z perspektywy małego kajaka.



Jeszcze kawałek płyniemy Motławą i z daleka widać już Gdański Żuraw.



Chcieliśmy tu wysiadać, planując tę wyprawę, ale jest za wysoko, żeby wyciągnąć Batorego z wody. Kończymy nasz rejs w pobliżu hotelu Hilton, gdzie pomost jest na tyle nisko, że nie ma problemu z wyciągnięciem wszystkiego na brzeg. Reporter już kręci materiał. Przeprowadza z nami wywiad i jest tak uprzejmy, że pomaga nam przenieść wszystkie rzeczy do pobliskiego hostelu.

Mamy już do zrobienia tylko jedną rzecz – złożyć serce z węgla pod ołtarzem św. Barbary w Bazylice Mariackiej w Gdańsku.

Dzwoniliśmy już na parafię kilka dni wcześniej i dzisiaj również, aby powiadomić o naszych zamiarach, ale jakoś nikt o tym nie pamięta. Dopiero pan kościelny, któremu bardzo spodobało się serce z węgla, przyprowadza „bardzo zajętego księdza”. Węglowe serce znajduje w końcu swoje miejsce pod ołtarzem św. Barbary.

Mam nadzieję, że tu zostanie i będzie świadczyło o wrażliwym sercu górnika, który je wyrzeźbił i w tym miejscu złożył.



Tylko my wiemy ile wysiłku i samozaparcia kosztowało nas przywiezienie tutaj tego czarnego daru dla św. Barbary. Łatwo nie było, ale piękne wyzwania wymagają wysiłku.

Cel osiągnięty i teraz możemy się cieszyć piękną pogodą spacerując po Gdańsku. Dwaj kapitanowie po wykonanej w stu procentach misji.



Osobno byśmy tego nie dokonali, ale wspólnymi siłami się udało. Zawdzięczamy również dużo dobrym ludziom, którzy stanęli na naszej drodze podczas tej podróży. Nie było ich wielu, ale pojawiali się w odpowiednich (najcięższych) momentach. Widocznie czuwał nad nami „ktoś z góry”, chcąc, żeby nam się udało.

Wypluwając w ten rejs, nie mieliśmy zbyt wielkiego wyobrażenia, jak wygląda Wisła. Ta, którą znamy, płynie sobie uregulowana przez wielkie miasta jak Kraków czy Warszawa. Z dala od miast jest dzika i nieprzewidywalna, wymagająca stałej uwagi, ale zarazem piękna w swej naturalności.

Obeując tyle dni z przyrodą i mogąc liczyć właściwie tylko na siebie nawzajem, pewne rzeczy ulegają przewartościowaniu. Doceniamy to, że na co dzień mamy dach nad głową, czyste łóżko i łazienkę. Rzeczy tak oczywiste stają się nagle luksusem. Docenia się również współmałżonka, na którym, jak się okazuje, można polegać w najtrudniejszych momentach. To jeden z lepszych testów małżeńskich, zdany w naszym przypadku na szóstkę. Taka wyprawa to naprawdę sprawdzian charakteru.

Wielu nie dowierzało, że nam się uda, ale i wielu kibicowało nam codziennie, za co im serdecznie dziękujemy. To też była dodatkowa motywacja, żeby ich nie zawieść. Ale przede wszystkim musimy podziękować sobie nawzajem za te czternaście dni i za przygodę naszego życia. O ile znam swojego męża, to na pewno nie ostatnią. Na razie w planach jest rejs (Batorym oczywiście) do Paryża.

Może niektórzy uważają nas za wariatów, ale to mnie żal jest ludzi, którzy nie mają marzeń. A marzyć trzeba zawsze, i to zarówno o rzeczach z pozoru niemożliwych jak i o tych błahych. Bo spełniając choćby jedno małe marzenie, czujemy się po prostu szczęśliwi.

